

Tyvmf
pana
Kleksa



Tytuł Pana Kleksa

Jan Brzechwa



ilustrował
Suren Vardanian

Wydawnictwo Skrzat
Kraków

Redakcja: Agnieszka Sabak
Korekta: Sylwia Chojecka
Ilustracje: Suren Vardanian
Skład: Aleksandra Kowal

Tekst: © Copyright by SPADKOBIERCY Jana Brzechwy
Edycja © Copyright by Księgarnia Wydawnictwo Skrzat
Stanisław Porębski
Kraków 2013



ISBN 978-83-7437-905-2

Księgarnia Wydawnictwo Skrzat Stanisław Porębski
31-202 Kraków, ul. Prądnicka 77
tel. (12) 414 28 51
wydawnictwo@skrzat.com.pl

Odwiedź naszą księgarnię internetową:

www.skrzat.com.pl



Ptasia historia

Akademię pana Kleksa ukończyło w tym roku trzech Aleksandrów, dwóch Anastazych, czterech Albinów, dwóch Agenorów, trzech Aleksych, jeden Andrzej, jeden Apolinary i ja. Razem było nas siedemnastu.

Wręczając nam dyplomy, pan Kleks na każdym z nich kładł swój podpis, ozdobiony wszelkimi możliwymi zakrętami i zawijasami, jakie tylko zdołała wymyślić kaligrafia na przestrzeni wieków.

Po wspólnym uroczystym obiedzie odśpiewaliśmy chórem hymn Akademii, po czym pan Kleks, stojąc swoim zwyczajem na jednej nodze, wygłosił do nas pożegnalne przemówienie. Wryło się ono w moją pamięć na całe życie.

– Moi drodzy – powiedział pan Kleks – po latach ogromnych wysiłków napełniłem wasze puste głowy mądrością, o której w innych uczelniach nikomu nawet się nie śni. Wiecie, że wynalazłem własną metodę wlewania

oleju do głowy. Dzięki temu wam, którzy przybyliście do mojej Akademii jako kapuściane głowy, zdołałem zaszczerpić wiele rzadkich umiejętności i z nieuków uczyniłem młodych uczonych. Wzmocniłem też waszą pamięć za pomocą soku malinowego i nalewki na piegach. Mam więc nadzieję, że potrafiacie przekazać zdobytą wiedzę następnym pokoleniom i rozślawić moją Akademię na cały świat. Każdy z was pójdzie odtąd własną drogą, a ja... Ja muszę udać się do krainy, która na mojej mapie figuruje jako Alamakota. O ile pamiętacie, utknęli tam przed laty bajdoccy żeglarze. Obowiązek nakazuje mi ich odszukać. Żegnam was, moi drodzy! Pa-ram-pam-pam! Pa-ram-pam-pam!

Po tych słowach pan Kleks wydał policzki i na połach surduta uniósł się w powietrze, jak to czynił zwykle, gdy zamie-



rzeł wyruszyć w podróż. Przez chwilę krążył jeszcze ponad naszymi głowami, po czym wymknął się przez okno, wzbił w górę i odpłynął w kierunku południowo-wschodnim. Jego rozwiana broda pozostawiała za sobą jasną smugę, a okulary posyłały nam pożegnalne migotliwe „zajaczki”. Długo jeszcze widzieliśmy w oddali ulatującą postać ukochanego profesora, która z minuty na minutę stawała się coraz mniejsza, aż w końcu znikła nam z oczu.


Pożegnałem kolegów, spakowałem zeszyty, galowe lampasy do spodni oraz kilka drobnych sekretów, które wygrałem od pana Kleksa w „trzy wiewiórki”, i radośnie pomknąłem do domu na ulicę Korsarza Palemona.

Mieszkanie rodziców zastałem jednak zamknięte.

Stary dozorca Weronik dostał na mój widok długotrwałej czkawki. Niegdyś nazywał się po prostu Franciszek, ale kilka lat temu przyjął imię po swojej zmarłej żonie Weronice. Tak bardzo ją kochał, iż pragnął w ten sposób utrwalić jej pamięć wśród lokatorów.

Czekałem jakiś czas, aż minie mu atak czkawki, w końcu zniecierpliwiony uderzyłem go kilkakrotnie w plecy tobołkiem z książkami. Weronik parsknął, wykonał parę przysiadów i oświadczył tajemniczo:

– Pan Niezgódka, czyli pański ojciec, na wiosnę tego roku zmienił się w szpaka i wyfrunął z domu. Nawet nie zatrzepotał na pożegnanie. Wyfrunął i tyleśmy go widzieli. A pani starsza włożyła kapelusz z kwiatkami, wzięła pod pachę elektroluks i poszła do lasu robić porządku.



Wszystko to stało się z powodu paczki, którą przyniósł listonosz. Bo jak tylko listonosz wsiadł na rower i odjechał, pan Niezgódka zaraz wyfrunął.

Wiedziałem, że Weronik jest dziwak i że po śmierci żony zdziwaczał jeszcze bardziej, toteż nie wdawałem się z nim w dalsze rozmowy, lecz wziąłem klucz i wszedłem do mieszkania. Zastałem w nim straszliwy nieład. Wszędzie pełno było damskich kapeluszy, wstążek i sztucznych kwiatów. W kuchni piętrzyły się niezmyte naczynia, a w jadalni z żyrandola zwisały wianki suszonych grzybów, przeważnie muchomorów. Pod nogami chrzęściły rozsypane ziarna, używane do karmienia kanarków. W gabinecie ojca na biurku, na szafach, na etażerkach poustawiane były rozmaite wypchane ptaki. Ptasie pióra wały się po podłodze, a kolorowy puch unosił się w powietrzu.

Zauważyłem już w dzieciństwie, że ojciec miał w twarzy coś ptasiego. Teraz mogłem stwierdzić, że głowy wypchanych ptaków dziwnie przypominają mi twarz ojca. Kiedy zaś wziąłem się do sprzątania i całą tę ptasią kolekcję wyniosłem na balkon, zielona papuga, którą nieostrożnie przydepnąłem, wydała skrzeczący dźwięk, do złudzenia przypominający głos mego kochanego ojca.

Uwijałem się do późnego wieczora, żeby mieszkanie jako tako doprowadzić do porządku. Następnie wszystkie pokoje pozamykałem na klucz, zachowując dla siebie jedynie gabinet. Przemeblowałem go, wyniosłem zbędne sprzęty, a także wszystkie książki, jako że ojciec



zbierał wyłącznie oprawy, usuwając z nich za pomocą brzytwy zadrukowane stronicy. Za to wszystkie tytuły wyciśnięte na grzbietach umiał na pamięć. Treść książek wymyślał i pisał sobie sam, według własnego upodobania, a po skończonej pracy stosy zapisanych kartek wrzucał do pieca. Kiedy zaś później zachodziła potrzeba, pisał książkę na nowo, za każdym razem inaczej.

Na szafie postawiłem wypchanego sokoła i włożyłem mu na dziób okulary, żeby mi przypominał mego ukochanego ojca. Nakręciłem też wszystkie zegary i każdy nastawiłem na inną godzinę. Po prostu nie chciałem przeszkadzać sobie w pracy obserwowaniem czasu.

Wreszcie na drzwiach przytwierdziłem tabliczkę, na której widniał napis:

ADAM NIEZGÓDKA

Absolwent Akademii Ambrożego Kleksa

Doktor Filologii Zwierzęcej

Tak, tak, moi drodzy! Był to pracowity dzień, pełen przeżyć i niespodzianek.

Gdy jeden z zegarów wskazywał północ i wypchana kukułka, naśladując głos mego ojca, zakukała dwanaście razy, położyłem się spać. Ojciec w latach mego dzieciństwa zawsze wieczorem otulał mnie kołdrą i kukał na dobranoc. Tej nocy śnił mi się Weronik fruujący na uskrzydłonym elektroluksie, ale do snu tego nie przywiązywałem większej wagi.

Nazajutrz, nie tracąc czasu, zabrałem się do moich zajęć. Od kilku lat prowadziłem studia nad żabim językiem i miałem na ukończeniu słownik porównawczy żabich gwar w jeziorach i w stawach. Nadto na zamówienie Instytutu Spraw Zmyślonych podjąłem się opracowania odmiennych zasad wymowy psiego «hau» i kociego «miau» w dwudziestu sześciu językach i narzeczach Dalekiego Wschodu. Nie będę również tał, że od dawna już głowiłem się nad transkrypcją bzykania komarów na chór i orkiestrę dętą, gdyż bardzo kocham muzykę, zwłaszcza różne pa-ram-pam-pam oraz pi-lim-pim-pim znane mi z Akademii pana Kleksa.

W chwili gdy byłem pogrążony w rozmyślaniach, rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Pobiegłem do przedpokoju w nadziei, że to może rodzice. Tymczasem na progu ukazał się listonosz, a za nim Weronik. Musiał być bardzo przejęty, gdyż znowu miał atak czkawki.

Listonosz urzędowym ruchem podał mi paczkę i powiedział tylko jedno słowo:

– Pokwitować.

Pokwitowałem. A ponieważ nie miałem drobnych, ofiarowałem mu wypchanego drozda.

Listonosz na chwilę się ożywił i rzekł:

– A nie ma pan przypadkiem szpaka?

I nie czekając na odpowiedź, zbiegł beztrąsko po schodach. Ale Weronik został. Minał mu już atak czkawki, więc idąc za mną do gabinetu, mówił tajemniczym szeptem:

– Taką samą paczkę dostał pan starszy. I zaraz potem wyfrunął. Widziałem to na własne oczy! Trzeba uważać. Radzę zamknąć balkon, bo i panu może się to przytrafić. Ostrożność przede wszystkim. Pan Chryzantemski upuścił pewnego razu z balkonu trzeciego piętra złotą rybkę. Wszyscy okropnie się przejęli, musiałem sprowadzić weterynarza. Weterynarz ją odratował, owszem, ale biedaczka straciła kolor. Nie jest już złotą rybką, za przeproszeniem. O, nie!

Słuchałem tej paplaniny z rozczarowaniem, a równocześnie rozwijałem paczkę. Była okręcona kilka razy w papier i za każdym razem osobno przewiązana sznurkiem. Przecinałem sznurki, zdierałem papier, aż wreszcie pozostało mi w rękach małe drewniane pudełeczko.

Weronik przylgnął twarzą do mego ramienia. Z ciekawości zaniemówił i w milczeniu chuchał na mnie piwem.

Ostrożnie otworzyłem pudełeczko. Wewnątrz leżał guzik. Duży czarny guzik. Natychmiast odżyła mi w pamięci opowieść szpaka Mateusza o guziku od cudownej czapki bogdychanów.

